ROK 59 WE LWOWIE, 1 KWIECIEŃ 1937 R. Nr. 4

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

DO PANÓW ŁOWCZYCH i PODŁOWCZYCH!

Z okólnika Polskiego Związku Łowieckiego z dnia 7 stycznia 1937 r. Nr. 15 I/O, któryśmy Panom Łowczym i Podłowczym w przedruku udzielili należy powziąć, że Związek dąży, zresztą zupełnie racjonalnie, do najszybszego przeprowadzenia przewidzianej w zatwierdzonym w grudniu z. r. statucie organizacji myślistwa w Polsce.

Według tego okólnika prace organizacyjne powinny być do końca czerwca b. r. ukończone, boć już w owym miesiącu ma być wybraną Naczelna Rada Łowiecka, której ukonstytuowanie się muszą w miesiącach kwietniu i maju wyprzedzić wybory do Rad łowieckich powiatowych i wojewódzkich.

Do tempa pracy przez Związek obranego musi się także zastosować i Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, jeżeli się ma należycie wywiązać z włożonego nań zadania zorganizowania myśliwych na terenie Małopolski, do tempa tego muszą się też zastosować i Panowie Łowczowie i Podłowczowie, skoro już w kwietniu, a najdalej w pierwszych dniach maja mają być zwołane Walne Zgromadzenia powiatowe dla wyboru Powiatowych Rad Łowieckich i wyboru delegatów na Walne Zgromadzenie wojewódzkie.

Wprawdzie można sobie wyobrazić, że organizacja tak szybko przeprowadzona będzie na razie tylko ramową i że potworzone w ten sposób kadry będzie można następnie uzupełnić względnie zapełnić, musimy jednak pamiętać o tym, że do dzisiaj istnieją powiaty, w których jest tak mała ilość członków M. T. Ł., że przewidziany w § 55 statutu wybór 3 do 5 członków Powiatowej Rady Łowieckiej, poza łowczym i podłowczymi natrafiałby na poważne przeszkody natury osobowej, gdybyśmy temu w czas nie zaradzili.

Dlatego wszyscy Panowie Łowczowie i Podłowczowie wogóle, a szczególnie tam gdzie liczba członków M. T. Ł. jest szczupłą, powinni czas tych kilku tygodni, które nas dzielą od zwołania zjazdów powiatowych, użyć do zjednania największej ilości członków nowych w myśl instrukcji, którąśmy Im przy przesłaniu nominacyj udzielili.

Sposób zjednywania nowych członków pozostawiamy Panom Łowczym, a w porozumieniu z Łowczymi, Panom Podłowczym, chcemy jednak zwrócić uwagę na to, że najlepszą ewidencją osób polujących w powiatach, a tym samym takich, pomiędzy którymi należy poszukiwać nowych członków Związku, są jednak wykazy osób, które pobrały karty łowieckie.

Wykazy takie otrzymają Panowie bez trudności od Panów Starostów, którzy okólnikiem Ministra spraw wewnętrznych Nr. A. P. 18/9-7, wydanym z. r., zostali wezwani do utrzymywania ścisłego kontaktu z przedstawicielami Związku.

Byłoby tedy naszym zdaniem bardzo wskazane, by Panowie Łowczowie zaprosili na Zgromadzenia ku wyborowi Powiatowych Rad Łowieckich, nie tylko te osoby, które już są członkami M. T. Ł. i P. Z. Ł., lecz także i te, które z pomiędzy osób posiadających karty łowieckie powinny Ich zdaniem być dla organizacji zjednane.

Tu nadmieniamy, że także Wydział M. T. Ł. odniesie się w najbliższych dniach do wszystkich Starostw o udzielenie mu takich wykazów. Potrzebujemy ich dla celów statystycznych i propagandowych, nie mniej jednak uzyskamy przez to i pogląd na działalność organów Związku w powiatach.

W najbliższych dniach prześlemy Panom Łowczym po kilkanaście egzemplarzy statutu Związku, celem rozdania członkom dawniejszym i obecnie zjednywanym, a na każde Ich żądanie odpowiednią ilość deklaracyj przystąpienia i innych druków.

Zwracamy też uwagę Panów Łowczych na istniejące w powiatach towarzystwa i kluby myśliwskie. Z tych niektóre zgłosiły się były już wprost do nas z chęcią przystąpienia do organizacji, ale myśmy je skierowali do Panów Łowczych powiatowych, którzy przy przyjęciu tych zespołów, względnie ich członków, zechcą się zastosować do §§ 7 i 14 statutu.

Jedno jeszcze musimy podnieść.

Konieczność pośpiechu, o jakim wyżej mówiliśmy, nie pozwoliła Wydziałowi zwlekać z zamianowaniem łowczych i podłowczych w powiatach, a przeto nie mógł on wprzód przeprowadzić korespondencji z dotychczasowymi Delegatami, względnie ich Seniorami i do ich rad i wskazówek opartych na znajomości stosunków lokalnych dostosować te nominacje.

Wynikły stąd dwa niedociągnięcia:

1. w niektórych powiatach zdołaliśmy zamianować zaledwie łowczego lub łowczego i jednego podłowczego, podczas gdy § 58 wymaga mianowania łowczego i przynajmniej dwóch podłowczych w każdym powiecie;

2. nominacje wypadłyby może inaczej, gdybyśmy mieli czas porozumieć się pisemnie lub ustnie z czynnikami, które nas i Związek dotąd zastępowały.

Luka pod 1 powinna być najszybciej uzupełniona i w tym względzie oczekujemy wniosków Panów Łowczych, które natychmiast załatwimy.

Trudniej oczywiście zaradzić niedomaganiu pod 2 wymienionemu. Sprawa ta, gdyby z którego pow. podniesiona została, będzie wymagała korespondencji naszej z czynnikami lokalnymi. Niemniej i ona będzie musiała być wkrótce załatwioną. I tu oczekujemy wniosków i rekry-

minacyj osób dotąd mianowanych, pozwolimy sobie jednak postawić następujące dwa dezyderaty.

Po pierwsze nie byłoby na czasie robić jakie kolwiek zmiany osobowe przed przeprowadzeniem wyborów do Powiatowych Rad Łowieckich, gdyż mogłoby to po prostu pociągnąć za sobą niemożność stworzenia tych instytucyj w czasie przez Związek wymaganym.

Powtóre, gdyby ktoś z mianowanych nie czuł się naprawdę na siłach brać na swe barki funkcyj statutem Związku przewidzianych i z tego powodu chciał powierzoną mu godność złożyć, to powinien oddać Wydziałowi M. T. Ł. i Związkowi tę jeszcze usługę, by nam wymienił osobę, którą uważa za najlepszą na stanowisko, które chce opuścić. — Oczywiście spodziewamy się, że rezygnacje takie będą czymś naprawdę wyjątkowym i nie będą dyktowane obojętnością dla sprawy i kwietyzmem, lecz jedynie nader ważnymi względami, bo przecież chodzi o sprawę bardzo ważną, która w ostatecznym swym celu ma podnieść kulturę łowiecką i zwierzostany w naszej Ojczyźnie.

Z Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

JÓZEF WACŁAW KOBYLAŃSKI

Jubileuszowa Wystawa Łowiecka w Poznaniu

Zaledwie ochłonęliśmy z wrażeń po wspaniałej jesiennej wystawie myśliwskiej we Lwowie, gdy oto doleciał naszych uszu hejnał baszkowskiej straży łowieckiej, zwołujący myśliwych z całej Polski do Poznania, gdzie z okazji 30-lecia Wielkopolskiego Związku Myśliwych urządzono okazałą i bogatą wystawę łowiecką, będącą niemal wyłącznym pokazem dorobku wielkopolskich myśliwych na polu racjonalnej gospodarki łowieckiej. Otwarcie tej wystawy poprzedziła Msza św. oraz hubertowska, gorąca uroczystość, która królewską Białą Salę historycznego Bazaru przemieniła w szumiącą i pełną śpiewu knieję z hejnałami rogów i polowaniem na niedźwiedzia... A dumki biegły daleko... zamarzył się dawny ostęp... najmilsze życia obrazy... trofea...

Oglądamy je na wystawie, a każdy eksponat godny jest podziwu, są to bowiem szanowni weterani, zahartowani w ogniu niejednej komisji sędziowskiej. Wystawiono przede wszystkim okazy naprawdę poważne, obwieszone medalami z polskich i zagranicznych wystaw. Z radością spoczywało na nich oko. Wyśmienity dobór na ścianie, a za ścianą... w osobnym pokoju, zamkniętym na siedem spustów, leżały stosy wysortowanych eksponatów... owoc sumiennej pracy komitetu organizacyjnego.

Całokształt wystawy zamknięto w specjalnym katalogu, gdzie bez przesady pisze Jan Heinze: „Wystawa łowiecka to przegląd zdobytych trofeów, to wspomnienie niejednej miłej, a czasem i tragicznej chwili, przeżytej przez myśliwego, to wykaz krajowej zwierzyny łownej i trudu poniesionego przez hodowcę nad utrzymaniem zwierzostanu. Jubileuszowa wystawa, to świadectwo 30-letniej pracy Wielkopolskiego Związku Myśliwych i jego członków w dziedzinie łowiectwa". Katalog ten otrzymał każdy bezpłatnie, kto uiścił 1 zł za wstęp.

Dziesięć tarcz złotych, srebrne i bronzowe, około 30 medali złotych, 80 srebrnych i 180 bronzowych, oto wynik rzetelnej pracy sędziów, a w pierwszej linii ks. Olgierda Czartoryskiego i inż. Leona Martyńca. Wśród eksponatów przeważały, oczywiście parostki i wieńce, gdyż w tej dzielnicy hodowla sarn i jeleni zajmuje dominujące stanowisko. Do bogatych i pięknych należały stoiska: Błąka Wł., który oprócz tarczy bronzowej za stoisko otrzymał tarczę złotą za rekord wieńca jelenia, Chłapowskiego K., Czarneckiego M., Czartoryskiego O., Martyńca L., Mielżyńskiego Ig., Ordynacji Obrzyckiej, Skórzewskiego Z., Uniwersytetu Poznańskiego (katedra prof. E. Schechtla) i Wybranowskiego P. Złotą tarczę za rekord porostków zdobył Raszewski K.

Specjalnie pragnę powrócić jeszcze do najpiękniejszego stoiska ks. O. Czartoryskiego, który oprócz tarczy srebrnej za stoisko, otrzymał złotą tarczę za rekord łopat daniela. Interesowała tutaj zwiedzających statystyka ubitej w dobrach książęcych zwierzyny w latach 1909—1936, a mianowicie: 34.540 zajęcy, 2.602 króliki, 9.902 koguty-bażanty, 111 kaczek, 5 jeleni, 5 danieli, 8 dzików, 483 rogaczy, 35 lisów, 52 słonki, 9 cietrzewi, 14.138 kuropatw, 257 różnych, razem 62.147 sztuk. Zaznaczyć przy tym należy, że w dobrach ks. Czartoryskiego poluje się na zające na tych samych terenach co drugi rok, a na kuropatwy corocznie, wyłącznie w pędzeniach. Drapieżników zaś ubito w tym samym majątku w okresie ostatnich 11 lat w ilości: 1 wydra, 279 lisów, 41 kun, 129 tchórzy, 420 łasic, 19 borsuków, 812 psów, 1.128 kotów, 223 gołębiarzy, 275 krogulców, 186 myszołowów, 3.527 wron, 55 srok, 145 sójek, 192 czaple-bąki, 842 rybitwy, łyski i nury, razem 8.274 sztuki. Interesujące też były fotografie, przedstawiające zewnętrzny wygląd oraz wspaniałe wnętrze domku myśliwskiego ks. Czartoryskich, zwanego Helenopolem.

Wielkie zainteresowanie budziła sala Uniwersytetu Poznańskiego, mająca charakter wybitnie naukowy, gdzie — wśród innych — widzieliśmy, jakby żywcem z terenu przeniesioną, wielkich rozmiarów łapkę na bobry, tzw. pastkę, zabraną w dobrach Rzepichów, a ustawioną przez kłusowników koło „chaty" bobra. Naturalne gniazdo głuszca z dwoma jajami oraz gniazdo gołębiarza, przeniesione z lasu na konarach drzew, dało możność zwiedzającym zetknięcia się z rzeczywistością. Spleciona racica łosia, tuba z kory do wabienia łosia, oraz fotografia Karola ks. Radziwiłła przy upolowanym łosiu, ożywiła wspomnienia wspólnego mojego pobytu z profesorem dr Schechtlem na łosiach w gościnnej Ordynacji Dawidgrodzkiej.

Zatrzymuję się przy stoisku Włodzimierza Błąka (jun.), urządzonym z wielkim smakiem i oglądam 9 fotografii

inż. Stelińskiego z Warszawy, ilustrujących historię jednego zająca od snu jego w kopnie poprzez przebudzenie się jego i wszelkie trwożliwe etapy, aż do zrulowania w ogniu dwururki na drodze leśnej, po której hasał szczęśliwie, aż się skończył czas ochronny, a z nim niezbyt rozkoszny żywot jego. Do niezmiernie cennych, a wybitnie oryginalnych eksponatów, zaliczyć należy tu róg myśliwski, zakupiony przez Błąka w pewnym składzie broni w Warszawie, dokąd przyniósł go na sprzedaż osobnik nieznanego nazwiska. Róg ten oprawny jest w srebrne skówki, pokryty artystycznie rzeźbioną łuską rybią, świetnie utrzymany, ma poza dwoma inicjałami W. S. i P. K. taki napis: „Roku 1818, Januar 3 dnia. Pracy Wincen. Szwoynickiego. Przyjm Koryzno Prezydencie ten mój mały dar w prezencie".

Święty Hubert, patron myśliwych, doczekał się wyjątkowo na tej wystawie godnej reprezentacji: Państwowa Szkoła Zdobnicza w Poznaniu wystawiła oryginalny, kartonowy witraż św. Huberta, a młody i utalentowany grafik, nauczyciel szkoły powszechnej, Stanislaw Zgaiński (Szamotuły, Rynek 14), dostarczył dwa drzeworyty św. Huberta oraz trzy ekslibrisy myśliwskie, drzeworyty, nadzwyczaj misternie wykonane, o pomysłowej kompozycji, wszystkie z jeleniem św. Huberta. Pierwszy z tych ekslibrisów to Leona Walickiego, drugi próbny Adama Narajewskiego, trzeci zaś ekslibris jest dotąd bez właściciela. Pragnąc dopomóc pracowitemu artyście, w którego kieszeni brzęczący dowód spokojnego życia nigdy chyba nie był gościem, apeluję do posiadaczy bibliotek myśliwskich, tak osób prywatnych, jak i kółek łowieckich, aby w sprawie ekslibrisów dla własnych bibliotek raczyli się zwrócić do p. Zgaińskiego. Czeka ich kolosalny wydatek... mianowicie: oryginał rysunku i 200 odbitek w cenie od 30 do 50 zł... A ekslibrisy myśliwskie, to motywy łowieckie w grafice i malarstwie. Rozwijajmy więc tę gałąź sztuki. Pomagajmy młodym artystom.

Oryginalną w koncepcji jak i w historii swego powstania jest duża szpilka św. Huberta do kapelusza myśliwskiego, wykonana w kości przez niewidomego inwalidę w Wiedniu, według projektu księżnej Czartoryskiej. Wreszcie wspomnieć należy o gorącym czcicielu św. Huberta, jakim jest dr J. Łukowicz, który wystawił trzy fotografie, a to kielicha, pomnika i płaskorzeźby św. Huberta.

A teraz o ciągle aktualnym temacie, tj. o książce myśliwskiej, zdań kilka. Dobrze się dzieje, że od pewnego czasu na wystawach łowieckich spotykamy stoiska wydawnictw łowieckich. Ma to wielkie znaczenie propagandowe. Na wystawie poznańskiej zaryzykowała swój koszt, trud i czas księgarnia Gebethnera, urządzając wcale bogate stoisko książek oraz barwnych drzeworytów z Puszczy Białowieskiej, Władysława Bieleckiego, jak: jeleń, żubr, dęby, dziki i inne. Ogólny targ za 18 dni wystawy wyniósł, według udzielonej mi relacji przez kierownika firmy Gebethnera, około 50 zł... To już jest popyt i kapitał... można płacić słone autorskie i bez skrupułów łożyć na wydawnictwa fachowe... Dosłownie, kaprawy los polskiej książki. A jednak zainteresowanie tą książką było niemal powszechne. Przychodzili ludziska do stoiska, brali książki do ręki, pytali o cenę, obracali je w ręku tam i z powrotem, jak to mówią, i odkładali... i odchodzili... Za drogo... Tak jest w istocie. W tym leży główna przyczyna stagnacji w księgarskim ruchu łowieckiej książki. Zeszliśmy przeważnie wszyscy na dziady.... Gdy się ma w portfelu dwa tysiące złotych, to nie można budować piętrowej willi, choćby się mieszkało gdzieś tam pod Sarnami... trzeba się zadowolić drewnianą chałupiną o dwóch izbach. Nic na to nie pomożesz „mój bracie w krawacie". Mając jeden złoty w garści, popatrzyć tylko można na książkę, która kosztuje 3 zł i więcej — popatrzyć tylko można, całkiem jak ten zgłodzony, który patrzy na zwoje kiełbas za szybą wystawową. Stwierdzić tu jednak należy fakt jeden, a mianowicie ten, że w Polsce książka myśliwska budzi przecież znacznie większe zainteresowanie, aniżeli na przykład u fotografa-amatora książka fotograficzna. Słaba to jednak pociecha.

Mówiąc o książkach nadmienię, że Wielkopolski Związek Myśliwych, (Poznań, ul. Młyńska 9), wydał album z wystawy w pięknej i złoconej oprawie, z napisem, zawierający 40 fotografii; cena 20 zł.

Prasa krajowa szeroko, pochlebnie i z uznaniem rozpisała się tak o jubileuszu W. Z. M., jak i o wystawie. Nie obeszło się jednak bez pomyłek, które bywają zawsze wtedy, gdy pisze się o wystawie, nie zwiedziwszy jej przedtym, a nawet nie mając katalogu w ręku. Wspomnę tu o Kurierze Wileńskim z 5 II 1937 r., który przeszedł zupełnie do porządku nad moją kolekcją około 400 żetonów, odznak i medali łowieckich, za które otrzymałem obecnie w Poznaniu najwyższą nagrodę, tj. złotą tarczę, a który napisał dosłownie: „Na wystawie tej, oprócz około 100 eksponatów ze wszystkich dziedzin łowiectwa, zostało wystawionych 394 odznak i medali, zdobytych przez Związek w okresie swego istnienia".

Trzykrotnie przyjeżdżałem na tę wystawę. Byłem przy jej narodzinach i śmierci. Niech mi wolno będzie stwierdzić, że mobilizacja okazów tej wystawy, jakoteż ich demobilizacja, odbywała się według istotnie przemyślanego planu, skrupulatnie, z ołówkiem i papierem w ręku. Wystawa ta była istotnym uświetnieniem uroczystości jubileuszowych oraz wymownym wykładnikiem pracy hodowlano-łowieckiej doskonałych gospodarzy, jakimi byli zawsze, aż po dzień dzisiejszy, wielkopolscy myśliwi.



STANISŁAW KRASICKI

Łowiectwo w Iranie

(Ciąg dalszy).

Nareszcie nadchodzę i gapię się na na odyńca czarnego karasiowatego, z daleka błyskającymi w słońcu południa, długimi, szerokimi szablami. Chyra długa, po bokach zwełniona, skołtuniona, sztuka bardzo duża, na oko oce=niłem ponad 200 kg. Pytam się, ile pan odyńców zabił? Pierwszy. A ile dzików? Pierwszy. Więc do niego krzy=czę: A rżnij pan kolanami w błoto i dziękuj św. Huber=towi za spotkanie! Popatrzył na mnie jakby nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Więc trochę ochłódłem i mówię, że trzeba koniecznie wziąć szable i fajki i tak ładnie w sre=bro oprawić. Daję wskazówki, że trzeba będzie całą gło=wę odciąć, bo szable bez wygotowania nie dadzą się wy=ciągnąć, najwyżej wykruszy, połamie. Przyszedł schikar=czi, na migi porozumiewamy się a Szwajcar dodatkowo nakreślił brudnym, obłoconym palcem wymowny znak, że zależy mu też na tyle dzika. A tymczasem tam na ko=niu niespokojnie miotającym się z dzidą w ręku chuczy, przeklina, grzmi jak tropikalna burza lub Zamojski w kniei, Dr. Stump, który nie może się doczekać dzika i złości się, że zatrzymaliśmy się i nie dopędzamy do koń=ca. Więcej w tym bagnie dzików nie napotkaliśmy. Więc siadamy do samochodu i jedziemy parę kilometrów da=lej do następnych oczeretów. Znowu brniemy po kolana w błocie a gąszcz taki, że lufy trzymanego sztucera nie widzę. Zdaję sobie sprawę, że w tych warunkach polo=wanie z sztucerem=repetierem, jest zajęciem mocno nie=praktycznym i nieprowadzącym w każdym razie do dania strzału. Ale idę dalej podniecony widzianym odyńcem i myślę już, do jakiego ja to będę za chwilę strzelał. Zno=wu mój sąsiad, który widocznie gdzieś grubo wyżej ko=lana zaglądnął jakiejś Irance, z dwóch luf koło mnie wali. Nic nie widzę, tylko gdzieś niedaleko mnie przemknął dzik, słyszę jego mokre człapanie po bagnie, widzę, jak np. na lewo odemnie kołysze się oczeret. Gonię w to miej=sce, niestety zapóźno! Nie przeciąłem drogi dzikowi, wi=dzę tylko, jak za nim zamykają się trawy i znowu spo=kojnie prosto wiechami sterczą w niebo. Pytam co tam się stało? Pudło! Więc idziemy naprzód dalej. W mię=dzyczasie jakaś gruba sztuka wyrwała się w pole bronio=ne przez Stumpa, dzidę i zwinnego lotnego araba. Wyska=kuję na wzniesienie, żeby z daleka widzieć to zmaganie się młodocianego starca z odyńcem. Niestety tumany ku=rzu wzbite kopytami przesłaniają ten ciekawy widok, wreszcie i to ginie za górą. Teraz jesteśmy ze wszech stron otoczeni dzikami. Fukanie, świst odzywa się z prawa, le=wa, z tyłu, od przodu. Wypatruję, jak mogę, za uchem podąża wzrok, ale nie można przebić nim tej zasłony, która jest łatwa do przebycia, ale tylko chodem, dla wzroku nie do przeniknięcia. Robię co chwila wypady, lecz bezskutecznie. Wybrnęliśmy nareszcie z tego mo=kradła i wychodzimy do Stumpa, który nie mógł skłuć dzika, gdyż wyleciała na niego jakaś irańska okara. Przed=stawiam mu, że w tych warunkach strzał do dzika jest niemożliwością i radzę, by nas postawił za oczeretem a konnych, których mieliśmy trzech i paru gapiów, wpuści jako nagankę w to bagno, może się wtedy da wycisnąć dziki. Zrobił tak. Otrzymałem stanowisko naprzeciw szu=warów w polu bawełnianym, stałem na przesmyku w miej=scu, gdzie wyszedł uprzednio odyniec na Stumpa. Stump zawsze na koniu, ale ze strzelbą, dwaj siostrzeńcy na flance. Zaczyna się gon na odyńca, w potokach słońca z stano=wiskiem na polu bawełnianym, robiącym wrażenie jakie=goś śmietniska szpitalnego z rozrzuconą na wszystkie stro=ny watą. Daleko zajeżdżający naganiacze robią piekielny wrzask, po chwili widzę w tumanach kurzu grubego dzi=ka, sadzącego w pobliskie góry. Jak zoczył to Stump, ze=brał konia w munsztuk, zebrał w łydkach, aż przysiadł na zadzie i jak wystrzelony, skoczył za dzikiem oddalo=nym o dobry kilometr. Odległość z każdą chwilą się zmniejszała, dzik już pod górę sadził i prawie szczytu do=sięgał gdy zrównał się z nim Stump i nie zwalniając tem=pa wypuścił dwie strugi dymu, które po chwili strzałem do mego ucha wróciły. Znowu piekielny hałas, wiem co już to oznacza i co sił w nogach, niestety ciężkich i peł=nych błota, gonię, by przeciąć zawczasu drogę dzikowi. Jestem już w miejscu, gdzie pierwszy uciekał, a tu krzy=czy jakiś — obserwator — naszych łowów, by do niego na szczyt góry pędzić. Góra niby mała, ściana skalista stroma, odyńca irańskiego nie mam na rozkładzie, więc to mnie wyrzuca jak wystrzał rakiety stratosferycznej — w górę.

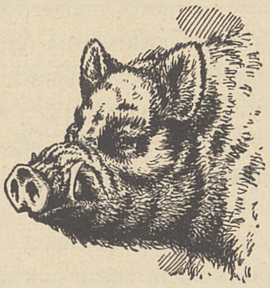
Powietrze irańskie, niesłychanie czyste, oświetlenie słoneczne bezwzględnie luksusowe w porównaniu z na=szym, stwarza iluzję bliskości, nieumiejętność oceny od=ległości przy tych zmienionych współczynnikach. Ta gór=ka okazała się górą, stromość tarpejska, ale rwę naprzód pomimo, że tchu brak, pomimo że czuję, iż w każdej chwili płuca wysypią mi się czerwonymi płatami na te szare skały. Jestem wreszcie na górze w fenomenalnej kondycji strzału i widzę przez czerwono czarne plamy w oczach gdzieś tam daleko na równinie zielonej w bez=troskim galopie coraz mniejszego i mniejszego pojedyn=ka. Ale mnie się zdaje, że widzę ogonek, bezczelnie kpią=co młyńcem merdający.

Łapię trochę powietrza w rozsadzone gonem płuca i zla=tuję w dosłownym tego słowa znaczeniu kilkanaście me=trów ze skały. Zbieram siebie z dodatkiem bólu i wracam na swoje bawełniane stanowisko. „Miot“ się kończy, wię=cej dzików nie było, względnie nie chciały się dać wy=przeć. Dowiaduję się, że dr Stump zabił grubego odyńca i zostawił go tak w polu, nie zatroszczył się o szable. Wszyscy jesteśmy zdania, że należy coś niecoś zjeść, no i napić się piwa, przecież polujemy en fait de biérre ira=nienne z Arcyksiążęco baronowskiego browaru, a tu na=wet bez poruszania się, bez biegania można być wysuszo=nym na tytoń przez to ciągle prostopadłe słońce. Więc jedziemy opodal do rzędem sterczących młodych topól, gdzie będzie trochę cienia i chłodu, do strumienia czy rzeczki wysadzanej topolami. Samochód zostawiamy na drodze na mostku, a sami o 10 kroków w łaciastym cie=niu skromnej tu wegetacji a wszędzie przenikającem słoń=cem, walimy się przemęczeni na ziemię. Z kosza wychodzą jakieś mięsa, chleby, jajka a potem te cudowne, wodniste melony. Wpuszczamy je razem z piwem do strumienia a sami pożeramy doskonałości kuchni Stumpa. Stump lu=

bi dobrą kuchnię. Jemy tak, siedzimy, gadamy przez pełne usta, a co chwila komuś wystrzela śmiałym łukiem meteor, z trudnością przyczkiem strącany z ubrania. Jak już ten pierwszy głód przeszedł, jak się nawodniło organizm, zaczęły znowu po mej głowie chodzić myśli o polowaniu. Wszystkie dziki uciekały w górę, to znaczy, że to jest ich siedlisko, musi być ich tam więcej, wniosek słuszny pojechać w góry! Stump się zgadza, ten nigdy niezmęczony człowiek. W oddali na lewo od nas nad bagnem kręci się jakieś duże stado pstrych kaczek, coraz pod słońce łysną bielą, jak wyrzucane z samolotu ulotki, by zlać się nagle z niebem i zginąć na chwilę. Wreszcie nagłym niespodziewanym zakrętem spikowały w szuwary z szyją długo wyciągniętą, z skrzydłami pod siebie wyrzuconymi jak gromada narciarzy w szusie stromego stoku. Jeden z siostrzeńców, ten z podejrzanym szczęściem, chwycił za strzelbę i pobiegł w sitowia. A ja w dalszym ciągu spokojnie raz poraz zatapiałem zęby w melonie i głośnym siurpaniem stwierdzałem jego soczystość. To głośne i smaczne zajęcie przerwał mi okrzykiem wybitnie podekscytowanym Stump: Patrz pan co za bestia! Biegnie wzrok za przedłużeniem ręki i rzeczywiście widzę: powoli, nie truchem, ale stępem wychodzącego z szuwarów grubego dzika. Już jestem w samochodzie, już repetuję sztucer i pędem gnam na łąkę w ukośnym kierunku od wyłaniającego się dzika. Miga mnie przez głowę miejsce, gdzie na honorowej ścianie, na czarnej tarczy będą wisiały w Stratynie dwa sierpy potężnych szabel. Nie może być inaczej, będę do niego strzelał na kroków 50, w najgorszym razie, a będę miał czas i cały magazyn wyrepetować! Przecież nie pójdzie między wielbłądy, osły i bydło, nie pójdzie między pastuchów, którzy już teraz widząc go, podnieśli piekielny wrzask, goniąc z batami na niego. Biegnę co tchu w piersiach a sił w nogach i od czasu do czasu zerkam w jego stronę, by pełnym spojrzeniem nie zepsuć spotkania. Nie może być inaczej, jeszcze 150 kroków a po tym stanę i czekać będę na niego. I gdy tak gonię i raz poraz spoglądam, widzę coś niepokojącego, zaczyna coraz bardziej z kulawego sztychu łopatka na połeć się pokazywać, wreszcie zdecydowanie pokazał mnie swe cynadry. Wskoczył między pastuchów, między wielbłądy! Nie daję za wygraną, w nadludzkim zrywie robię jeszcze jakich 150 kroków, po drodze wybierając sobie sznajsę wśród długoszyjnych wiebłądów. Składam się, i gdy odyniec wyskakuje z garbów wielbłądzich, na jakichś dwieście kroków posyłam mu kulę, rozpaczliwą i beznadziejną. Nie mogę zwiększyć prawdopodobieństwa serią, bo już znowu nie jak u nas „Fuchs, Baum, Baum, Fuchs“ tylko wielbłąd, pastuch, krowa, osioł, wielbłąd. Ale gonię za nim. Ginie za pobliskim pagórkiem. Wypadam z za niego a tam już nowa seria pastuchów wyje i krzyczy na mnie Mosié indżia, andzia, ręką wskazując rozległą winnicę. Już krokiem, bo sił nie starczy, wlokę się do tej winnicy, która rozkopana, z dołami i rowami wygląda jak miot w Pieniakach. Bez najmniejszych nadziei spotkania lezę przez tą winnicę z planem postawienia siebie w czole i do wychodzącego strzelić. Idę bez przekonania, nie wierzę, by odyńcowi chciało się wychodzić z tak kapitalnej osłony w szczerą pustynię na dogodny wystrzał. Tu ma gąszcz, ma doły irygacyjne, w których może się skryć i nawet przez sforę psów nie być wypartym. No, ale idę, wychodzę z winnicy, patrzę na prawo i lewo a tam właśnie w lewo daleko widzę mego pojedynka truchtem idącego w kurzu do tych gór, do których już nie wiem który dzik zdążał.

Tak się skończyło moje pierwsze polowanie na dziki w Iranie, polowanie, które, choć bez naszych cudownych, niezapomnianych ram, zostawiło mnie miłe wspomnienie.

C. d. n.



A. PISULIŃSKI

Krokodyl afrykański

(Ciąg dalszy)

Krokodyl — jak już poprzednio zaznaczyłem — jest z natury bardzo płochliwy, zwłaszcza na lądzie i tam też nigdy agresywnie nie występuje. Nie byłby zatem dla tubylców, zamieszkujących pobrzeża wód afrykańskich tą plagą, która ich poważnie przetrzebia, gdyby zachowywali bodaj tyle ostrożności, co zwierz dziki lub domowy.

Obserwując np. psa kaferskiego, gdy trapiony pragnieniem zbliża się do wody — doznajemy odrazu wrażenia, że zdaje on sobie dokładnie sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwo grozi mu, i o ile możności przed nim się zabezpiecza. I podziwiać wtedy należy ostrożność jego, gdy chodząc wzdłuż brzegów szuka za odpowiednim dostępem do wody, jak podejrzliwie patrzy na jej zwierciadło, jak cierpliwie czeka w jednym miejscu, przechodzi do innego — zanim zdecyduje się pysk swój do wody przyłożyć.

Tak samo — a może z jeszcze większą ostrożnością — postępuje zwierz dziki. Tam, gdzie przy rzece, pełnej krokodylów znajdą się bajory, chociażby o wstrętnej i cuchnącej wodzie — wszelka zwierzyna w nich gasi pragnienie. Tak się obawia bliższej znajomości z krokodylem. Do rzeki idzie dopiero w ostateczności, tj. gdy już żadnego innego poidła w swym rejonie nie znajdzie.

Nic z tego u murzynów. Ich niefrasobliwość i notoryczne niedbalstwo, a szczególnie ich ślepa wiara w rozmaite talizmany, dostarczane im przez czarowników — są głównym powodem licznych, tragicznych (wedle naszych pojęć) wypadków.

Liczba ofiar ludzkich, porywanych w pewnych okolicach przez te jaszczury — jest niezwykle wysoka. A porywania takie zdarzają się przeważnie podczas kąpieli lub w czasie prania chust lub czerpania wody — a więc podczas codziennych ich zajęć, co powinno było wpłynąć na ich psychikę i spowodować jakiś odruch myślowy — celem skutecznej obrony przed tą plagą.

Niestety murzyn jest fatalistą — a będąc pod wpływem czarowników, którzy z tytułu swego zawodu czer-

nawlókłby skórkę na kliniastą deskę, napiął jak strunę, żeby się wydała dłuższą. Wewnętrzną stronę nóżek i kity wypchałby papierem, bo się mogą zwinąć i zepsuć, i poniósłby deski na strych, gdzie się najlepiej suszy skórki na przeciągu. Za miesiąc przyszedłby brodaty żydowin z workiem na plecach, dmuchałby pod włos w gładko wyszczotkowane futerko, próbował czy nie lenieje, krzywił się, że nie jest jak należy, że skórki lisie dziś nie płacą, że sam Abraham świadkiem ile straci, jeśli da za nie całych ośmdziesiąt koron. Inna rzecz, że po pół godzinie z wielkim wzdychaniem dałby sto pięćdziesiąt, choć to jego ostatni grosz, choć potem nędza go czeka; ale inaczej być nie może, bo biedny żyd jest zawsze wyzyskany, a źli ludzie zawsze bez serca i bez litości... A za rogiem leśniczówki pogładziłby z zadowoleniem długą brodę i pomyślałby, że jednak Jehowa jest dobry, goj nie ma rozumu, a skórki są bardzo ładne...

Takby to było, jak amen w pacierzu, gdyby Cygan nie zwrócił uwagi na wrzask sojki. Sto razy na dzień otwiera ta plotkarka głupi dziób, a w tem dziewięćdziesiąt dziewięć razy bez najmniejszej potrzeby. To prawda — ale nie wolno zapominać, że raz na sto razy głupia sojka może mieć rację.

X. SIEROTY.

Jak zły sen minęła zima i wiosna zawitała w zaśnieżone góry. Ciepłe wiatry złamały mróz, pożarły śnieg, strugami mętnych wód napełniły potoki i rzeki, ich szumem i hukiem głusząc martwą ciszę zimową. Leśne łąki i bagienka zaczynały się zdobić pierwszym kwieciem i bladymi pędami młodych traw. Osiki i iwy stroiły się w szatę wiosenną, a z nagich jeszcze gałęzi roniły młodzieńcze kotki, baźki, złoty pył przy lada wietrzyku. Białe gór oblubienice — brzozy, aż oczy rwały niepokalaną bielą swych szat ślubnych. Po niebie goniły się gromady baranków-chmurek, słonko coraz serdeczniej uśmiechało się do zmarzłej ziemi, ciepłymi pocałunkami budząc ze snu wszystko, co żyje.

Z dolin ciągnął zwierz w rodzinne góry. Jelenie zrzuciły już zeszłoroczne wieńce, a jeśli je nosiły jeszcze, to ocierały je o pnie i kłody, próbując uwolnić się od zbytecznego dziś ciężaru. Za to rogacze pysznią się już nowymi mitrami książęcymi; świeże i delikatne, mchem osłonięte — noszą z największą ostrożnością. Księżne i księżniczki, zbiedzone długą zimą, w skromnych, szarych, leniejących sukniach, wyciągają smukłe szyje do słońca. — Z tęsknotą i radością w sercu idą za swymi panami w góry, gdzie wprawdzie wiosny jeszcze nie ma, ale gdy przyjdzie, będzie stokroć piękniejsza, niż w dolinach.

Zajączki już powiły pierwsze latorośle; w małym dołeczku, macierzystym włosem wysłanym, tu i ówdzie świecą już białe gwiazdki na czołach maleńkich marczaków. Wieczorami klucze dzikich gęsi pruły błękit, nasycony upajającą wonią wiosny. Nie bacząc na obolałe skrzydła, dążyły z radosnym pogwarem ku rodzinnej północy, torując powietrzne szlaki stadkom kaczek. Wyżej, nad nimi, rozbrzmiewał klangor żurawi.

W cichy wieczór miga zygzakowato na skraju lasu nietoperz w pogoni za pierwszym wiosennym owadem, a gdy kos odśpiewa swe nieszporne trele, z nad bagien i olszyn ozwie się najcudniejszy hejnał wiosny — chrapanie rozkochanej słonki...

Ryżka, ta sama, która w zimie obchodziła gody weselne w rewirze Cygana, chodziła już bardzo ociężale. Sama musiała o sobie myśleć, a nie było to rzeczą łatwą; mąż niewierny ją opuścił, zwierz wszelaki pod wiosnę był ostrożniejszy i żwawszy, a ona z każdym dniem niezgrabniejsza. Toteż wyglądała bardzo mizernie. Futerko, takie ładne w zimie, teraz straciło i barwę i połysk. Z puszystej kity została ledwie połowa, nawet mordka zaostrzyła się, czy wydłużyła z biedy.

Błąkała się całymi nocami po największych gąszczach, widocznie czegoś szukając. Aż wreszcie znalazła. W lesie nad Temnikiem miał kiedyś pod skałą ukrytą, obszerną norę stary borsuk. Wyszedł z niej pewnej nocy i nie wrócił. Mieszkanie było dostatnie: przedpokój, bawialnia, sypialnia, a nadewszystko dwa wyloty ratunkowe. Sypialnia bardzo starannie wysłana suchym liściem i trawą. Czystość wszędzie wzorowa; ani śmieci, ani pajęczyny, ani zwisających ze stropu korzonków, ani oberwanej ziemi. Słowem dawny mieszkaniec musiał być typowym porządnickim, jak każdy stary kawaler i odludek.

Ryżka bardzo ostrożnie podeszła do nory — nie zależało jej na znajomości z jej gospodarzem, znanym zresztą z niegościnności. Krok za krokiem, z noskiem na baczność, zbliżyła się do samego wejścia. Zalatywało tu trochę pleśnią, trochę zapachem samego gospodarza, znacznie zwietrzałym, głównie jednak suchym liściem. Resztki starego odwiatru tchórza, który tu kiedyś musiał szukać myszy, mało ją obchodziły.

Uspokojona wciągnęła się w wylot nory. Nie raził jej wcale przejmujący chłód pustego mieszkania; w lecie będzie tu tym milej, gdy zapanują nieznośne upały, że ani rusz bez wywieszonego języka. Wogóle nora bardzo się liszce podobała; obszerna, przewiewna, dobrze ukryta i z dostateczną ilością wylotów. Nad całym tym mieszkaniem leży olbrzymia płyta trachitowa, nie bojąca się chyba niczego prócz dynamitu. A że niedaleko gościńca, to co z tego? Właśnie dlatego nikt się tu nie będzie lisiego gniazda domyślał, a do turkotu wozów można się przyzwyczaić...

Wybiegła ratunkowym wylotem, zbadała dobrze najbliższe otoczenie nory i posznurowała do lasu. Zdążyła schrustać zaledwie ślepego kreta i jakiegoś tłustego mięczaka i wróciła spowrotem. Od tej chwili stale już przesypiała całe dni w norze.

Któregoś dnia pod koniec kwietnia otwarły się upusty niebieskie i deszcz lał potokami, że świata bożego widać nie było. Strugi ciekły po omszałych pniach starych buków, mały, na poły suchy strumyczek, hucznie się toczył, a rzeka, aż żółta ze złości, plwała na oba brzegi białą pianę, przewalając na rozhukanym grzbiecie czarne pnie drzew, gdzieś z gór porwane.

Naszej liszce wszystko to było najzupełniej obojętne. Spokojnie leżała sobie na suchym barłogu, miłośnie oblizując cztery maleństwa, mało co do niej podobne. Nie pomna na głód, przez dwa dni nie ruszyła się od nich na krok. Dłużej jednak nie sposób było wytrzymać. Wychudzona, zmęczona, chwiejąca się na nogach byle czym się pożywiała i spieszyła spowrotem, stale niespokojna

o dzieci. Maleństwa rosły jak na drożdżach, już nawet nastawiały uszki, słysząc wracającą matkę.

Istna idylla rodzinnego szczęścia. I ktoby pomyślał, że takiemu cichemu szczęściu zawistny los zamierza zadać cios najokrutniejszy, godząc w matkę-żywicielkę? Tak to już jest na tym świecie. Życie jest nieustanną walką, a w walce padają ofiary. Przyroda jest wprawdzie matką, ale matką surową; od dzieciństwa uczy znosić i przeżywać ciosy, których jednym pasmem jest tak życie zwierza leśnego, jak i życie człowieka.

Był cudny, majowy poranek. Rosa mieniła się milionami brylantów, na każde źdźbło, na każdy listek w lesie wieszając perły, rubiny i szmaragdy.

Liszka łowić teraz musiała już nie tylko dla siebie, ale i dla lisiąt, które nigdy nie miały dosyć mięsa. Z konieczności, choć z największą ostrożnością, zdecydowała się podkraść pod pierwszą chałupę pobliskiej wioski. Liczyła na to, że głębokim wąwozem podejdzie aż pod sad, gdzie stale chodziło stadko jarzębiatych kurek z kogutem. Zaczęło się bardzo pomyślnie, bo nawet jedna kurka szła poprostu sama na śmierć; najwidoczniej chciała się przekonać, czy niema tam dalej, w polu, takiej tłustej dżdżownicy jak wczoraj. Rzeczywiście znalazła ją i najspokojniej dziobała smaczny kęsek, gdy wtem z za krzaka tarniny wypadła na nią żółta śmierć. Krzyknęła rozpaczliwie ale było już za późno. Uszczęśliwiona liszka pędziła do lasu z kurą w mordce. Przeskoczyła przez rów i już miała zniknąć w gąszczu, gdy niespodzianie ugodził grom i dwadzieścia śrutów uwięzło w jej boku. — Dziewięćdziesiąt liszek-matek na sto — kończy w ten sposób życie — w pogoni za karmą dla dzieci!

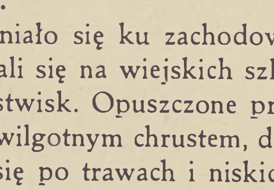
Małe przywykły już do tego, że nie zawsze matka zjawia się na zawołanie, skoro ich brzuszki zaczną kruczeć, dziś jednak za długo jej nie było widać. Zawsze, choć z niczem, wpadala co pewien czas do nory popatrzyć na dzieci; teraz — wieczorem wyszła z domu i jeszcze jej nie ma, a brzuszki wołają „gwałtu"...

Z nudów zaczęły się bawić zajęczym skokiem. sama skóra i kość — suche to, bez mięsa, bez smaku nawet. — Pozwijały się więc w kłębuszki i zasnęły z błogą nadzieją, że po przebudzeniu zapachnie im przed noskiem smaczne śniadanie. Niestety — o świtku głód je obudził, nie matka.

Nie mogły już dłużej wytrzymać — wyszły z nory na spotkanie matki. Zielone korony starodrzewu cicho szumiały sierotom kołysankę, gdzieś w dole kos gwizdał swej ukochanej, wóz wiejski turkotał na gościńcu, a w górze orzechówka gniewnie krzyczała na pławiącą się nad lasem kanię. Las żył swym życiem codziennym i nic nie zdradzało ponurej lisiej tragedii. Napróżno wyczekiwały lisięta przed norą, napróżno rozglądały się gorączkowo świecącymi ślepkami, napróżno skomlały cichutko... Matki niema i niema...

Słońce już skłaniało się ku zachodowi, chłopcy — na oklep — prześcigali się na wiejskich szkapiętach, spędzając dobytek z pastwisk. Opuszczone przez nich ognisko, podsycane dotąd wilgotnym chrustem, dogasało, jeno gryzące dymy słały się po trawach i niskich krzach długimi warkoczami.

(C. d. n.)



KINOLOGIA

ALBERT MNISZEK

Posokowiec

Już w starożytności prowadzono psa w trop za zwierzyną lub człowiekiem ściganym prawem czy zawiścią bliźniego. Psa takiego wybierano z pośród psów gończych. Nie należał on prawdopodobnie wtedy do jakiejś specjalnej rasy, choć służył jako tropowiec, gdyż rasa tropowców (der Leithund) powstała dopiero z początkiem wieków średnich u ludów germańskich a przekształciła się w Niemczech z początkiem wieku XIX w pokrewną im, lecz odrębną zupełnie rasę p o s o k o w c ó w (Schweisshunde).

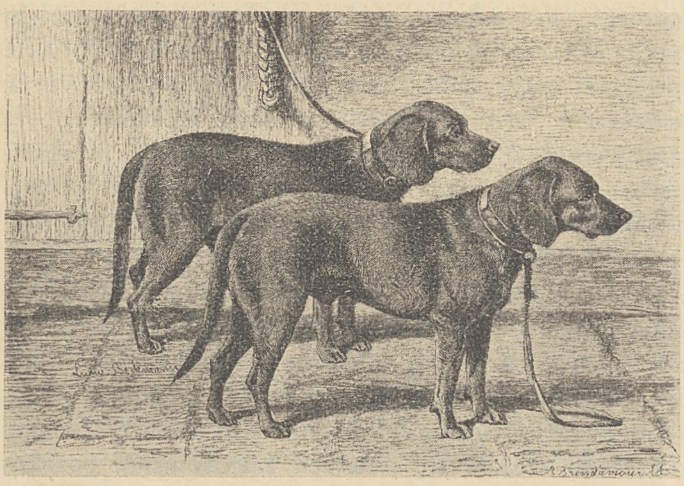
Rasa ta powstała w owym czasie w Hannowerze przez krzyżowanie ówczesnych tropowców z ogarami, głównie z Brunszwiku i Solling. Odróżniano w niej dwie odmiany a mianowicie formę lżejszą bliższą tropowcom (Leithund Form) i cięższą (Schweisshund Form). Ponieważ z czasem okazała się potrzeba zastosowania posokowca w łowach górskich na jelenia, stworzono drugą rasę posokowca, lekko zbudowanego, nadającego się lepiej do terenów górskich w Bawarii. Doprowadzono do niej przez krzyżowanie posokowca hannowerskiego z lekkim ogarem niemieckim (Jägerhof). Rasa ta oficjalnie uznaną została w Niemczech w r. 1844 pod nazwą bawarskiego posokowca górskiego (Bayerischer Gebirgsschweisshund). Obecnie istnieją więc dwie rasy posokowców: hanowerska i bawarska.

Różnica między tymi rasami w budowie ciała jest dość widoczna. Posokowiec bawarski, jest, jak już wyżej wspomniano, budowy lżejszej i jest krótszy. Nos jego jest więcej szpiczasty i dłuższy, gdy hannowerczyk ma nos krótki i tępy. Różnicę w szczegółach budowy obu ras, wykazują podane ryciny. Maść obu ras jest dość rozmaita a więc czerwono-brunatna, czerwono-żółta (u hanowerczyka często płowo-brunatna podobna do maści zimowej jelenia), grzbiet ciemny, jak też ciemna twarz i ogon, są więc te rasy w kolorze także do siebie podobne, tylko że bawarczyk jest od swego pobratymca nieco jaśniejszy. Wysokość w przodzie waha się u obu ras od 45 do 55 cm.

Praca posokowca idzie w dwóch kierunkach: po pierwsze tropienie zdrowej zwierzyny wysokołownej (jeleń, łoś) po „zimnym" tropie tj. starym, po drugie tropienie tejże zwierzyny postrzelonej po farbie. Tresura jego iść więc też musi w tych dwóch kierunkach. Jest ona trudną, wymaga rutynowanego nauczyciela o wielkiej dozie cierpliwości, odnoszącego się przyjaźnie do ucznia, a więc miłośnika psa, gdyż przeprowadzoną być musi jedynie dobrocią a nie surowością i terrorem. Treser powinien kochać ucznia a uczeń tresera. Działać on musi na intelekt psa, a nie na jego skórę, rozwijać go systematycznie, aby pies zrozumiał, o co chodzi.

Gdy pies ukończył pół roku, prowadzi go treser na lekkim łańcuszku oplecionym skórą (nie na linewce, którąby przegryźć potrafił) na teren i pozostawia go w danych miejscach samego, z początku na krótko, z czasem na coraz to dłużej. Pies z początku skomli, szczeka, próbuje przegryźć w skórę obszyty łańcuszek; pan jego jest

w pobliżu, tak, że go widzi, karci go głosem, co zwykle nie daje skutku. Wreszcie, gdy się pies ze zmęczenia uspokoi, choćby na chwil kilka, pan podchodzi do niego, głaszcze go, daje mu jakiś smakołyk i — pierwsza lekcja skończona. Ćwiczenia te powtarzają się w nieskończoność z tą różnicą, że trwają coraz dłużej i treser coraz to dalej się od psa znajduje. Pies zaczyna rozumieć, o co



Posokowiec hannowerski

chodzi, leży cicho i cierpliwie. Tak wygląda pierwszy najtrudniejszy i najwięcej cierpliwości od człowieka wymagający, wstępny okres tresury.

Drugi jej okres poczyna się, gdy pies ma rok i polega na obznajomieniu go z tropem wysokołownego zwierza. Treser stara się więc go wprowadzić na trop jelenia. Posokowiec ma wrodzoną właściwość wskazywania tropu, trącając go nosem. Jeżeli treser się przekona, że wskazany trop nie pochodzi od jelenia, lecz od innej zwierzyny, odciąga go natychmiast wstecz i karci go słowem „zły trop“, gdy jednak pies wskazał trop jelenia, prowadzi go jakiś czas po nim, następnie zawraca, (nie odciąga) i każe iść psu po nim wstecz. Koniecznem jest ręką swą tak kierować, aby pies szedł z nosem przy ziemi, a nie jak wyżeł z nosem do góry, dlatego obroża powinna być zwróconą kółkiem w dół, a linewka przeprowadzona popod psa między jego nogami, co ma też tę korzyść, że nie naciska gardła psa, gdy ten energicznie dąży po tropie. Jest rzeczą wskazaną ćwiczyć psa od początku, o ile tylko można, na zimnym tropie, a więc trudniejszym do rozpoznania węchem, gdyż zmusza to go do trzymania nosa przy ziemi. Chcąc mieć zimny trop do użytku, należy świeży trop, na którym pies właśnie pracuje, oznaczyć w kilku miejscach gałązkami, by wprowadzić nań znowu w kilka godzin później ucznia.

Gdy pies nabył już potrzebnej wprawy w tropieniu i rozpoznawaniu jeleniego tropu, tak, że trop innej zwierzyny nie obchodzi go już zupełnie, to wchodzi on w trzeci i ostatni okres tresury, tj. tropienia postrzałka, a więc właściwej dlań pracy na farbie. Wprowadza się go więc na farbę ciężko postrzelonego jelenia, który prawdopodobnie nie daleko obległ, by go przy nim, prowadzonym na linewce dostrzelić. Następnym razem pies śledzi farbę zwierza już dłużej, i gdy na jej właściwościach pozna je się, że zwierz niedaleko oblega, zwalnia się psa z rzemienia i gdy dojście postrzałka ogłosi szczekaniem, zwierza się dobija, daje się psu farbę lizać, ale nie szarpać skóry. Przy patroszeniu powinien pies asystować i za swą pracę być szczodrze mięsem zwierza na miejscu nakarmiony. Pamiętać należy, że podstawowym warunkiem skutecznej tresury jest używać psa tylko na tropie jednego gatunku zwierza. Starego nawet wytrawnego posokowca uczonego na tropieniu jeleni, nie należy puszczać na trop inny np. dzika lub sarny, gdyż taki proceder psa popsuć musi.

Tak wygląda tresura posokowca. Daje ona umiejętnie przeprowadzona fenomenalne nieraz rezultaty. W niemieckiej literaturze kinologiczno łowieckiej cytowane są wypadki, że posokowiec orientował się biegle na farbie, a nawet na tropie w 24 a nawet w 36 godzin po strzale. Tego żaden inny pies, nawet wyżeł z najlepszym wiatrem nie potrafi. Można go niekiedy używać w braku posokowca, lecz tylko na świeżym tropie, lub świeżej farbie, w kilka jednak godzin po postrzale będzie on już bezradny i do postrzałku przypadkiem, jeżeli nie daleko odbiegł, po górnym wietrze myśliwego doprowadzi.

Dla potwierdzenia słuszności powyżej przytoczonego zdania pozwolę sobie opowiedzieć epizod z moich łowów karpackich, w których posokowiec bawarski odegrał po mistrzowsku swą rolę. W dniu 28 września 1909 w Skolem o godzinie 5,50 wieczorem, a więc o dobrym już zmroku, postrzeliłem dwiema kulami jelenia, ryczącego na rozległym świeżym zrębie. Ponieważ widocznym było, że ciężko ranny zwierz niedaleko mógł pójść i w przekonaniu że niedługo dojdzie, a gdy nadto wysuwał się już z nad gór księżyc w pełni, przeczekałem godzinę, aż księżyc oświecił zrąb i pozostawiwszy broń na ścieżce, by mi w uciążliwym poszukiwaniu na zawalonym starymi kłodami zrębie nie przeszkadzała, ruszyłem z gajowym na miejsce strzałów.

Zaczął się mozolny pochód poprzez kłody i maliniaki, a że w oświetleniu księżycowym każda kłoda mogła być



Bawarski posokowiec górski

leżącym jeleniem, trącałem każdą z nich mym długim kijem. I rzeczywiście jedna była tym jeleniem, który się zerwał na równe nogi i nastawił się do mnie rogami. Nie czuł się jednak na sile, by mnie zaatakować, gdyż zawrócił i poszedłszy dalej, znikł mi z oczu. Wściekły na siebie za swą gorączkę myśliwską, która mogła mnie narazić na stratę zdobyczy, wiadomem jest bowiem, że ruszony raz postrzałek idzie już światami, zawróciłem

i ja, a przyszedłszy do koleby, posłałem gajowego do Nadleśnictwa z prośbą o przysłanie mi posokowca na drugi dzień rano. Tymczasem w nocy spadł deszcz nawalny z piorunami, tak, że gdy nazajutrz przysłano mi psa wraz z jego stałym dozorcą, nadzieje moje na znalezienie postrzałka zmalały do zera. Ale że pies był na miejscu, a ranek słoneczny, ruszyliśmy co prędzej na miejsce wczorajszej epopei. Pies wkrótce odnalazł trop i prowadził w kierunku właściwym tak pewnie, jakoby to był trop świeży, że już zdawało się nam, że jesteśmy u celu. Szliśmy w dół ku wezbranemu nocną ulewą potokowi. Po błysku nadziei, wątpliwość wkradła się znów do duszy, gdyż jeżeli byk zdołał dojść do potoka, to będą przed nami dwie ewentualności: albo się w nim położył i doszedł, albo przeszedł na drugą jego stronę. A że zwierz ranny i ścigany nigdy nie przechodzi potoka wprost, lecz idzie jakiś czas wodą, aby zmylić pogoń — tak każe mu działać instynkt samozachowawczy — może więc wtedy łatwo nam przepaść. Dochodzimy do potoka — nie ma go niestety, przechodzimy na drugą stronę i idziemy w dół, gdyż zwierz ranny schodzi zwykle w dół, nie mając sił na wspinanie się w górę. Po jakichś stu krokach pies zaczyna ziemię a raczej kamienie wąchać, trącać je nosem — pokazuje trop. Na jednym z większych kamieni znajdujemy kropelkę skrzepłej farby, przed nami zarośla wierzbowe, pies już nie śledzi tropu, lecz z głową do góry jak wyżeł, ciągnie nas energicznie ku nim. Między pniami wyciętych wierzb znajdujemy zdobycz. Dzielny pies otrzymał w tej chwili sowitą nagrodę w postaci kawału jeleniny. Bez jego pomocy nigdy byśmy nie byli znaleźli postrzałka.

Ileż to jeleni przepadło i przepada corocznie w Karpatach z braku tego nieodzownego towarzysza łowów mimo wysokiej klasy nowoczesnej broni!

Kilku zagranicznych myśliwych, polujących na rykowisku w Karpatach wyrażało zdziwienie, że polscy myśliwi obchodzą się na tych wspaniałych łowach bez posokowców. W Austrii, Niemczech i Czechosłowacji nie jest to do pomyślenia. I słusznie. W wysokich łowach pies taki myśliwemu już więcej potrzebny, niż luneta na sztućcu. Nie ma u nas niestety jeszcze właściwego zrozumienia rzeczy, nie odczuwa się potrzeby pomocy psa myśliwskiego. Trudność w sprowadzeniu? Sądzę, że nie wielka. Możnaby sprowadzić parę takich psów, któraby obsługiwać mogła kilku myśliwych a i rozrodziłaby się u nas. Posokowce bawarskie, których nam potrzeba, nie są znów tak drogie, by na zakupienie ich pary nie mogła się zdobyć wspólna kieszeń polujących obok siebie kilku myśliwych.

A nikt się nie zawiedzie na tym szlachetnym zwierzęciu, gdyż prócz swych wielkich walorów myśliwskich, jest ono wiernym sługą swego pana i czujnym stróżem zagrody. Dla tego posokowiec nie może być zdany na łaskę niepewnego jakiegoś gajowego, nie może być też trzymany na łańcuchu, jak pies podwórzowy, lecz powinien żyć z swym panem, jakby członek jego rodziny, pod jego dachem i opieką.



ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

Poemat lasu

CZĘŚĆ IV.

ZIMA *)

Seńko nie patrzył nawet w swą stronę —
tyle już razy wójt czytał,
tak były wszędzie wiechy rozstawione,
papier w mózgu szeleścił
i czerwienią zgrzytał:
tyfus!
Hania...
zabiło mocniej serce kłusownika —
z dziką zaciekłością porwał całą wiechę,
gryzł nienawistną
i wypluwał kartę,
mamrotał; śmiał się histerycznym śmiechem,
deptał kawały papieru podarte
a potem stanął —
myślał —
poszedł...

*
* *

Jeszcze świeciło się w jej małej chatce,
stara babka Agnieszka mówiła pacierze,
dreptała,
mościła koło pieca leże
a pod oknem cicho zamajaczył cień —
ceglaste policzki szczelnie przylgnęły do szyby,
wszystko chciały wyczytać
niespokojne oczy —
tak — ona leży
patrzy i nie widzi. Tyfus jej mózg zmroczył
tyfus!
tyfus!
Hanuś!...
piersią wstrząsnęło gorączkowe łkanie,
war łez gorących strugą oczy zalał,
może pomrze?
może śmierć nasze rozłączy kochanie,
może (chroń Pan Bóg!) wezmą do szpitala?
Nagle przez głowę zbawcza przeleciała myśl —
szybko przedostał się przez zaspy śniegu,
wyjął starą dwururkę
z pod słomianej strzechy,
młotkiem dobił sterczące naboje,
potem biegł,
minął jak szalony dwie przydrożne wiechy,
przewijał się przez zwały,
przez trzeszczący śnieg,
dłonią do ust rozpalonych
śliski lód przygarniał,
aż wreszcie zdala
zaczerniał las krzyżów

*) Opisane zdarzenie autentyczne. Polowanie na cmentarzu oraz w lesie prawdziwe. Imiona osób zachowane.

a w progu cmentarza
trupiarnia —
Tędy od lasu zwierzyna co nocy
do wsi wędruje na żer
a księżyc dziś świeci, więc widno daleko
wśród jasnych, bieluchnych,
jak diament błyszczących
skier.
Namyślał się Seńko i wszedł do trupiarni,
znak krzyża na piersiach zaznaczył,
wystawił strzelbę przez okno
na cmentarz,
dumał zarazem i patrzył —
Hania —... Hania —... Hania —...
żeby choć zabić jednego zajączka...
zaraz — jak odjął chorobę,
śmierć uciec gdzieś w dal nie omieszka,
napewno odstąpi wielka nieznośna gorączka
(tak przecież sama mówiła Agnieszka!)
— Hania —...
widzi ją teraz:
pościel ma śnieżno-białą,
krzyż jest ponad nią
wielki — czarny
a na niej biały całun
rusza się teraz
idzie... idzie...
tańczy poważnie biały trup...
Boże!!!
o Jezus! com myślał! przede mną się chwieje
grób! —
nie!... —
przetarł Seńko rozpaloną twarz,
rozwarł szeroko umęczone oczy,
zdało mu się chwilę, że jeden grób podskoczył —
nie!
nic —
Jedzie już z Hanią swoją na wesele,
skrzypki,
muzyka,
tańcują, śpiewają,
ot Hania tańczy, jako tylko umie
w nowym,
nowiutkim
pogrzebnym całunie...
— a — tu — tru - py —
— w wko - ło — gra - ją —
— trum - ny —
— ska - czą —
— i — bie - ga - ją —
— a - tu - tru - py —
— tak — śpie - wa - ją —
— śmie - ją - się —
— za - gro - by — cza - ją —
i znów grają
i śpiewają:
chodź do trumny
— to - wa - rzy - szu —
tru - py — cie - bie
— u - ko - ły - szą,
na śniegu my tutaj
jak zawsze zebrani,
witamy małżonków
i ciebie i Hanię,
do naszej chodź grupy,
bo my trupy,
wszystkie trupy,
razem trupy —
jeden trup do Seńka zbliska
całym krzyżem
w głowę ciska...
Jezu!!!
znów Seńko przetarł gorączkowe oczy:
trupy zniknęły,
groby zamarły,
tylko krzyż...
co tam?
ciemny się kłębek oderwał od krzyża,
skakał dokoła,
do chaty zbliżał —
zając —
strzał!
zatrzepał w powietrzu skokami,
jakgdyby meldował śmierć słuchom,
skatulał się z grobu
i leżał bez ruchu.
Księżyc zachodził...
do ranka daleko,
zostały cztery naboje,
co robić? —
Przewijał się Seńko wśród drzew
trzy godziny,
las śladom się dziwił,
niepewną miał minę,
czekał...
Na dnie ogromnego jaru
chrzęstem śniegu gwarą
stadko saren gwarzyło
a takie było wesołe, szczęśliwe!
Rezolutnie patrzyły
sarny srebrno-siwe,
kozły nieco straciły na sławie półbogów,
bo boje minęły
i zabrakło rogów,
dużo było w gronie przedrzeźniania,
koźlego wstydu
i sarniego śmiania
a za chwilę...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

pierzchnęło całe stadko
ona jedna została;
odłamane dwie cewki kłuły pierś boleśnie
krew strugami
uciekała z ran,
kipiała sycząc nadchodzącą śmiercią —
człowiek!
straszny człowiek zbliżał się szyderczo,
uśmiech szczęścia wykrzywił mu twarz.

*

Schował się Seńko spotniały

w matecznika jarze
gorączka — ha! — pewno chory —
Seńko się rozmarzył —
tyfus — Hania — cmentarz — trupy — ślub
on — trup, Hania — trup
Hania!...
ostatni błysk świadomości
wstrząsnął skurczem ciało:
żyć!!!
a echo wrzasku konającej sarny
głucho powtarzało
przez gorączkę mgłę
nieeeeeee!

*

Mówili cicho ludzie we wsi,
zbierały się grupami baby,
radzili wszyscy gospodarze,
płakali
dopytywali
kogo wzięło powietrze morowe...
od drzwi chaty Hani
wyszedł lekarz stary
szedł szybko — nie patrzył na nikogo,
nisko zwiesił głowę...
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

TYTUS KARPOWICZ

Mroki i światła

Sosny się kolebią na szczycie cichej góry. Szum zimowego igliwia mąci ciszę. Gdzieniegdzie zachichocze na wietrze zbity, zmiętoszony krzew wrzosu lub rudych, wysokich zdziebeł. Wszędzie nagość śnieżna, biała, nieskalana, śpiąca hen w dolinach, nad dziwaczną wstęgą rzeki, idącej niżej, wciąż — niżej...

Na górach niema już białego okrycia — tylko w parowie, między jednym szczytem wyższym a drugim niższym — leży mały lodowiec, płynący żmiją mokrego śladu w dół, po żółtym spławie piasku.

W parowie, na samym dnie — szumi rzeka... Jakiś lęk czuć w jej śpiewie, lęk przed nieznaną przyszłością — dokąd ona idzie i po co?

Drobne falki kąsają brudne kawałki lodu, sterczące nad samym brzegiem. Ślinią je żółtym odmętem, plują zawzięcie... Tam i ówdzie, za kamieniem, sterczącym z dna, wiruje, jak wrzątek i pieni się, sapiąc, zbuntowana woda. Z jednej strony rzeki — kraj płytki: płaszczyzna, łąki lekko wznoszących się daleko — pól. Nad samym brzegiem potworzyły się zacitki, kałuże wody i śmietnisko naniesionych przez wody odłamków drzewa, lodu i korzeni. Wszystko jeszcze tutaj leży kornie pod śniegiem. Wyłamują się tylko od tego obowiązku krzewy, sterczące, jak małe piąstki — nad śnieżną bielą.

Po drugiej stronie rzeki — wyżyny i góra, sosnowym borem porosła. Teraz w jej drzewach wiatr od czasu do czasu buszuje. Oto wygonił mroźnym podmuchem kilka zbłąkanych wron, podbił je zdołu i — powolne, jak ciemne kłaki, nad pustacie, nad doliny — w smutny, płaski kraj. Jakaś dziwna melancholia przytłacza twoją pierś, myśliwcze, gdy tak czekasz wśród pni sosnowych na zwierza... Coś sennego wlecze ci się po twoich myślach, po duszy, po całym ciele — jakaś zimna, skościała dłoń...

Pustka i smutek. Brak ruchu i brak blasków — słońca czy księżyca: wszystko jedno — byle jakiekolwiek blaski były.

Pewnym kontrastem w tym powszechnym nastroju jest tylko wibrująca z szumem rzeka. Ona jedna wrze, kipi, mocuje się, boryka z uporem różnych sił i ciężarów. Już były na tyle ciepłe dni, że — spętana — rozbiła okucia lodowe, piersią wody uniosła w górę z trzaskiem wielkie plastry lodu, poszczerbiła je, rozdrobiła, pokruszyła i poniosła drobiazgi w postaci kry — spławem, jak flisacze tratwy.

Ona jedna tylko jest dziś wyrazem siły i odrabianego trudu; a wszystko inne czeka słońca...

Jest trochę chłodno, „zołko" — szary kołtun mgły wczepił się w powietrze i — zamrożony — napełnia płuca śliską, wstrętną wilgocią.

Kiedyż nareszcie wypryśnie z tych sennych dołów albo z wąwozu chytra figurka lisia? Za długo się czeka jak na takiego złodzieja — stanowczo za długo... Chodzi tym szlakiem na rozbój; to jego drogi. Kuropatwy wywąchuje po śniegu przy krzaczkach.

Zbliża się często pod wieś — może jaki ochłap wynajdzie, może głupia kokoszka z ciepłej izby, z pod „komina" wyjdzie pod „tyn", na śnieg, porozkoszować się pierwszymi przebłyskami jeszcze dalekiej wiosny... — Lis to filozof — on wie, że wszystko na świecie możliwe; trzeba więc chodzić, szukać — a nietylko czekać.

Od wielu dni śledziło twoje oko rude wałeczki, widoczne z dalekiego dworu, jak sznurowały, myszkując, po polach. Dziś zasiadłeś w ciszy, na znanym przesmyku, kędy zwierz zwykł wychodzić z lasów na żer, w pola.

Wloką się chwile. Wloką się wolno, jak te chmury zbałwanione, czarno-siwe i stalowe — wiatr je niesie. — Chmury płyną górą, a od ziemi w twoją pierś sączy się jakiś dziwnie smutny jad tęsknoty — nie wiadomo — za czem i dlaczego?...

Czekasz...

Nagle — co to?! Na pola jasność strzeliła. Cud blasków popłynął po ziemi — po szarych śniegach, nad rzeką, w wąwozy; tylko góry stoją jeszcze w cieniu — posępne, głuche... To ostatnie chmury przegnał gdzieś, jak pierzchliwe mustangi, jeździec-wiatr, zachichotał jeszcze w koronach dumnych sosen, jak pan jedyny tych dziedzictw i — pognał cwałem w nieznane dale...

Czyżby się bał ognistej pieszczoty słońca i cudnych blasków? Teraz — cały kraj, rozparty szerokimi ramionami na wschód i zachód, widoczny wyraźnie z twojego stanowiska — rozjaśnił się, jak święty w promiennej aureoli.

Dziwo natury! Już umarł wiatr. Mgła ginie w oczach — powietrze schnie, robi się tęgie, czyste, suche. Radość się rozprzestrzenia, po tym świecie na skrzydłach słonecznego blasku. Tylko czekać — jak zaraz gdzieś ptaki zaczną wywodzić wiosenne pieśni, jak kwiat podniesie niemowlęcą, delikatną głowę z pieluchów ziemi — zapatrzy się

w cud gorącego słońca... Radość wstaje zawsze wśród blasków.

...I czujesz, mój serdeczny bracie-myśliwy, — jak pierś ci się podnosi tężyzną świętych uczuć, rozum pęcznieje światłością myśli, a w gnieździe twojej duszy lęgnie się szczere zadowolenie z życia i ciche wesele, którego ci nikt nie odbierze, bo to jest wartość, która z twojego ducha pochodzi.

Teraz już jest cieplej — nawet gorąco, o ile siedzieć bez ruchu... Łowieckie oko wykorzystuje światło: penetruje wszystko — od dalekich, modrych tasiemek lasów, po wężowisko rzeki. Kolejno kieruje się na wąwóz, na lewo, kędy sączy się w stronę rzeki cieniutka nić potoku...

Jest!.. wychynął z gęstwiny chojaczków — lekki, bystry, gotów w każdej chwili szmyrgnąć z powrotem w dzikie haszcze. Uszy wyłapują szmery... Ale widać nic nie stwierdziły poza hałaśliwym szumem rzeki i chrobotaniem ruczaju, — bo lis czmygnął drobnymi kroczkami szkarpem w górę.

Teraz dopiero spostrzegasz, że na przeciwległej ścianie parowu biegnie trop — malutka, ale dość wyraźnie udeptana ścieżynka. Tędy to chadzał lisek na łowy — już chyba więcej nie pójdzie...

Znowu zwierz przystanął. Jest teraz prawie na wysokość twego stanowiska, z tą różnicą, że po drugiej stronie wąwozu. Ale parów nie szeroki — strzał pewny.

Już od kilku chwil czeka przy twarzy — wolniutko za roletą choiny, dociągnięta do oka — strzelba...

Lis ruszył truchcikiem... Już czas — bo zginie niebawem za szczytem, by spłynąć po drugiej stronie w doliny — na mord...

Odbity po górach pierwszy huk, strącił ze ścieżynki zwierzę, rzucił w kilku skokach na kamienie; drugi strzał zwalił je niżej, w białą ciszę śniegu, za to, że próbowało trafione uciekać...

Nagroda już jest — za długi trud oczekiwania.

Zbiegłeś w dół. skok przez potok, szybkie kroki i — wisi bezwładnie w rękach ładny, tęgi, o pięknym futrze lis...

W wąwozie szepleni potoczek, a dalej — wtóruje mu huczna, ogrzana blaskiem słonecznym, rzeka...

Jeść się chce — czas do domu!

Bibliografia

Kalendarz Leśny Informacyjny na rok 1937. Od 12-tu lat Oddział wileński Związku Leśników Polskich wydaje swe kalendarze cieszące się dużą popularnością i zasłużonym uznaniem w szerokich sferach leśników, oraz myśliwych. Bowiem wśród artykułów z dziedziny leśnictwa sporo miejsca w tym wydawnictwie zajmowały zawsze prace na tematy łowieckie, lub pokrewne łowiectwu.

Rocznik bieżący zasługuje pod tym względem na szczególne wyróżnienie. Wśród bogatej jego treści, ułożonej i opracowanej bardzo starannie, widzimy sześć prac z dziedziny łowiectwa, które w krótkości tutaj omówię, gdyż są to rzeczy naprawdę wartościowe i godne poznania.

Kpt. Władysław Kobylański daje w Kalendarzu trzy artykuły. Pierwszy z nich i zarazem najlepszy „O polskich kalendarzach myśliwskich" jest szkicem bibliograficznym, charakteryzującym wszystkie tego rodzaju wydawnictwa, jakie się dotąd w Polsce ukazały. Jest to cenna praca, która zainteresuje każdego myśliwego, a przede wszystkim zbieracza książek i wydawnictw łowieckich. Polska bibliografia łowiecka nie jest dotychczas należycie opracowana, to też każdą cegiełkę pod ten gmach witamy życzliwie i radośnie. Żałować tylko należy, że Kobylański, posiadając olbrzymi materiał i zdolne pióro — tak mało ogłasza prac z umiłowanej przez siebie dziedziny, a traci czas na pisanie artykułów nie posiadających większej wartości i znaczenia jak np. o zabobonach Radziwiłłów, czy upiorach starych zamczysk.

„Instrukcja bobrowniczego" — druga praca tegoż autora, jest ciekawym dokumentem z końca XVIII wieku. Dowiadujemy się z niej o obowiązkach i przywilejach związanych z tym urzędem, oraz o ilości i ówczesnym rozmieszczeniu żeremi bobrowych na Polesiu.

„Rosomak" Kobylańskiego przynosi nam garść wiadomości o życiu i obyczajach tego zwierzęcia, które przed laty zamieszkiwało w obfitości i nasze polskie puszcze. Wszystkie te artykuły, dzięki utalentowanemu pióru i miłemu stylowi autora, czyta się łatwo, z dużym zaciekawieniem.

Redaktor Kalendarza, inż. Wacław Dankiewicz, zamieścił swój obszerny referat, wygłoszony na II Międzynarodowym Kongresie Leśnym w Budapeszcie we wrześniu 1936 r. p. t. „Łowiectwo na terenie ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej". Doskonała ta praca przedstawia na wstępie zarys dziejów łowiectwa na omawianych ziemiach, potem podaje rozmieszczenie wszystkich ważniejszych gatunków zwierzyny od niedźwiedzia do słonki i kuropatwy, a przy końcu charakteryzuje rozwój kultury i piśmiennictwa myśliwskiego na Kresach Wschodnich.

Pracę Dankiewicza nie wystarczy tylko przeczytać — trzeba ją przestudiować uważnie, gdyż zawiera wiele cennych wiadomości dla każdego myśliwego, którego pociągają dzikie łowiska Wileńszczyzny. A płynny barwny styl autora, promieniujący miłością do opiewanej krainy i jej fauny sprawia, że czytelnik chętnie przebiega wzrokiem stronice, nie przerażając się ich ilością (19). Dankiewicz jest powściągliwy: pisze treściwie, zwięźle, a jednak z pod pióra jego wymykają się fale liryzmu, które uchylają przyłbicę autora, ukazując właściwe jego oblicze, oblicze romantyka.

Michał K. Pawlikowski nadesłał krótki szkic „Jak zachowywać się na polowaniu?" Temat ten zawsze bardzo aktualny i nie dość naszym łowcom znany, został jednak tu potraktowany zbyt powierzchownie i dlatego częściowo tylko spełnia swe zadanie. — A szkoda. Artykuł w kalendarzu, trafiający do rąk przede wszystkim leśniczych-kierowników większości polowań, musiałby zwrócić większą uwagę na rozmaitego rodzaju wykroczenia i usterki ze strony zarówno uczestników, jak i organizatorów wszelkich łowów zbiorowych.

Ostatnią wreszcie pracą na tematy łowieckie jest beletrystycznie ujęty szkic monograficzny „O pardwie" niżej podpisanego.

Omówiłem tu zaledwie kilka artykułów interesujących specjalnie myśliwego. Ale kalendarz zawiera ich aż 32! Doborowa treść, znane nazwiska autorów, 240 stron druku i wiele doskonałych ilustracyj tworzą naprawdę piękne wydawnictwo, z którym bezwzględnie winni się zapoznać wszyscy miłośnicy lasu i łowiectwa.

Leopold Pac-Pomarnacki

Korespondencje

Dnia 2 stycznia 1937 r. polowaliśmy w Dźwiniaczu u p. Mieczysława Wartanowicza. Pogoda — 2° mrozu, mgła w 6 (sześć) strzelb w 5 kociołkach padło 170 zajęcy i trzy lisy. Stan zwierzyny bardzo dobry. Inż. Bohdan Zienkowicz.

W Rzemieniu, powiat mielecki polowano w sezonie 1936/37 r.:
24 VII, stawy Pędzenia, strzelb 7, 83 kaczki, 7 krzyków.
6 VII. stawy Pędzenia, strzelb 5, 34 kaczki, 2 czaple.
19 VII, stawy Pędzenia, strzelb 5, 32 kaczki, 2 czaple.
28 IX, pola, strzelb 4, 43 kuropatw.
16 XII, las, strzelb 6, 35 zajęcy, (oddane na pomoc zimową).
13 I, las, strzelb 4, 1 dzik.
25 I, las, strzelb 6, 2 dziki, 2 lisy, 26 zajęcy.
26 I, polną ławą, strzelb 6, 70 zajęcy, 33 koguty bażanty.
6 II, las, strzelba 1, 1 dzik (odyniec).

Na rykowisku padło jeleni 4, — Rogaczy na podjazdach i podchodach 13, cietrzewi na tokach 5, słonek na ciągach 10, gęsi dzikich 2. — Wron i srok strzelono i struto 83, różnych szkodników 16. — Razem zwierzyna łowna 406 sztuk; szkodniki 99 sztuk.

Antoni Szaszkiewicz

Koropiec nad Dniestrem 21 lutego 1937.

Rozkład tegorocznych zimowych polowań w Koropcu nad Dniestrem, w dobrach hr. Stefana Badeniego, wyniósł: 9 lisów, 248 zajęcy. — Na dziki nie polowano.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. w dniu 2 marca 1937.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Ks. Lubomirski, A. Mniszek i A. hr. Starzeński, członkowie Wydziału: Dr St. Gajewski, Z. Gronziewicz, St. Jaśkiewicz, gen. W. Maryański, Dr K. Obmiński, Dr Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, Dr E. Skowroński, Dr A. Sołowij i inż. T. Sroczyński, tudzież zastępcy: St. Longschamps i W. Puchalski, wreszcie zaproszeni Dr A. Sander i A. Ulm.

Nieobecność usprawiedliwili: inż. Z. Sander, A. hr. Zaleski, Dr W. Ziembicki i zaproszony Dr A. Lardamer.

A. hr. Starzyński przedstawił treść memoriału Oddziału krakowskiego w sprawie reorganizacji M. T. Ł. w związku z mającą nastąpić zmianą statutu zastosowaną do statutu P. Z. Ł.

Po ożywionej dyskusji wybrano komisję statutową w osobach Pp.: Z. Gronziewicza, Dr A. Lardemera, Dr Fr. Piechowskiego, Dr A. Sandera, Dr Edwarda Skowrońskiego, inż. T. Sroczyńskiego i A. Ulma, a komisji tej polecono przede wszystkim przeprowadzić szczegółową dyskusję z A. hr. Starzeńskim nad postulatami Oddziału krakowskiego.

Mianowano w powiecie przemyskim: łowczym Jerzego Ks. Lubomirskiego, podłowczymi Edwarda Bocheńskiego w Krzywczy nad Sanem i Mariana Dębickiego w Niżankowicach, zaś w powiecie złoczowskim mianowano dodatkowo podłowczym Romana Ścibor Rylskiego w Podkamieniu. Przyjęto do wiadomości rezygnację Adama Machnowskiego z godności łowczego w powiecie brzozowskim.

W tym stanie obrad Prezes hr. Bielski, udając się na toczące się równocześnie obrady T. K. Z., zdał przewodnictwo wiceprezesowi A. Ks. Lubomirskiemu.

Przyjęto w poczet członków M. T. Ł. i P. Z. Ł. Zdzisława Małeckiego, Romana Ścibor Rylskiego i Jarosława Skoplaka.

Wnioski A. Ulma, dotyczące zażądania ze Starostw wykazów osób, które wykupiły karty łowieckie i interwencji u Panów Wojewodów w sprawie współpracy starostów z organami Związku — uchwalono.

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. w dniu 9 marca 1937.

W nieobecności chwilowo niedysponowanego Prezesa przewodniczył wiceprezes A. Mniszek, obecni członkowie: Dr St. Gajewski, Z. Gronziewicz, St. Jaśkiewicz, Dr Fr. Piechowski, Dr E. Skowroński, inż. T. Sroczyński i zastępcy członków: St. Longchamps i W. Puchalski, wreszcie zaproszeni: Dr. A. Sander i A. Ulm.

Nieobecność usprawiedliwili: Dr. K. Obmiński, inż. Z. Sander, Dr A. Sołowij i Dr. W. Ziembicki.

Pp. A. Sander i Z. Gronziewicz zdali sprawę z konferencji statutowej odbytej w dniu 4 marca w obecności Prezesa Oddziału krakowskiego A. hr. Starzeńskiego.

Wysłuchano sprawozdania kasowego i stwierdzono, że wydatkowano już znaczną kwotę na organizowanie myślistwa w Małopolsce na zasadach statutu P. Z. Ł., tudzież że wydatki na ten cel będą w najbliższej przyszłości jeszcze o wiele znaczniejsze. Okoliczności te wzięto pod uwagę przy powzięciu uchwały w jakiej wysokości M. T. Ł. może na razie przesłać Związkowi zaliczkę na należący mu się udział we wkładkach.

Mianowano dodatkowo podłowczym w powiecie przemyślańskim Jana Biesiadeckiego w Hanaczówce.

Na wniosek inż. T. Sroczyńskiego i W. Puchalskiego uchwalono urządzić w czerwcu b. r. wystawę fotografiki łowieckiej.

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU M. T. Ł. w dniu 2 kwietnia 1937 r.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni członkowie Wydziału Z. Gronziewicz, St. Jaśkiewicz, Dr Fr. Piechowski, Dr E. Skowroński, Dr A. Sołowij, inż. T. Sroczyński i zastępca inż. Z. Sander, tudziez zaproszony Dr A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili Dr St. Gajewski, A. Ks. Lubomirski, St. Longchamps, Gen. W. Maryański, Dr K. Obmiński, A. hr. Zaleski i Dr W. Ziembicki.

W poczet członków M. T. Ł. i P. Z. Ł. przyjęci zostali Juliusz Bętkowski i Roman Bleicher z Brodów, Seweryn br. Brunicki z Dubaniowiec, Ignacy Drozdowski z Żółkwi, Stanisław Markowski z Kołtowa i Mgr. Antoni Tomkiewicz z Brzozowa.

A. Sander zdał sprawę z postępu prac organizacyjnych Oddziału.

Mianowano inż. Stanisława Burzyńskiego generalnym delegatem M. T. Ł. na województwo stanisławowskie, a gen. Walerego Maryańskiego na województwo tarnopolskie.

Mianowano Łowczym powiatu łańcuckiego inż. Wiesława Krawczyńskiego, w miejsce Dr Adama Midowicza, którego rezygnację z tego stanowiska, jako zgłoszoną z ważnych powodów przyjęto. Podłowczymi mianowano Seweryna br. Brunickiego w powiecie rudeckim, Antoniego Tomkowicza w powiecie brzozowskim i Ignacego Drozdowskiego w powiecie żółkiewskim.

Przyjęto do wiadomości rezygnacje: Romana Jurkiewicza ze stanowiska łowczego powiatu nadwórniańskiego, a ze stanowisk podłowczych Ludwika hr. Reya w powiecie rohatyńskim i Mariana Wartanowicza w powiecie tłumackim.

Inne wnioski personalne odłożono do następnego posiedzenia, po przeprowadzeniu dodatkowej korespondencji.

Na podstawie referatu inż. Sroczyńskiego zawiązano zgodnie z poleceniem P. Z. Ł. Komitet dla sprawy udziału myślistwa małopolskiego w tegorocznej miedzynarodowej wystawie łowieckiej w Berlinie. W skład tego Komitetu weszli Pp. inż. T. Sroczyński, jako jego przewodniczący tudzież Dr E. Skowroński i Włodzimierz Puchalski jako członkowie.

Adres Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie: ul. Krowoderska 59/7, P. K. O. 405.265.

KOMUNIKAT

„Jubileuszowe wydawnictwo Wielkopolskiego Związku Myśliwych p. t. ECHA POLSKICH ŁOWISK", które spotkało się z tak przychylną krytyką nietylko polskiej, ale i zagranicznej prasy, jest do nabycia w Wielk. Związku Myśl. w Poznaniu, ul. Młyńska 9 w cenie zł. 3,25 za 1 egzemplarz bez przesyłki pocztowej, za zaliczeniem pocztowym cena 1 egzemplarza 4,05 zł., 2 egzemplarzy 7,60 zł, a 3 egzempl. 10,75 złotych. Cena ta dotyczy pierwszego nakładu, który jest na wyczerpaniu, drugi nakład będzie około 1 zł na jednym egzemplarzu droższy z powodu mniejszego ilościowego nakładu.

SPROSTOWANIE

W numerze 3-cim na str. 52 w pierwszej szpalcie, we wierszu 22 od góry, ma być **„Marcinków"** a nie „Marcinkiewicz".

W tymże numerze na str. 50 w pierwszej szpalcie po wierszu 14-tym, podpis ma być **„Artwiński"**, a nie „Oczkwiński".

TREŚĆ NUMERU 4:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50